

OSOBLIWOŚĆ

HORYZONT ZDARZEŃ



I N E R T I A

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie, udostępnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora. Plik jest przeznaczony wyłącznie do użytku prywatnego.

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Ostrzeżenie: powieść zawiera treści odpowiednie wyłącznie dla osób pełnoletnich.

Rozdział 1 (Chaos)

Szedłem pewnym krokiem, wcinając po drodze proteinowego batona i co jakiś czas odpowiadając skinieniem głowy na witające mnie osoby.

Wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi, ale dla mnie liczył się tylko baton, którego pochłaniałem od kilku chwil. Nie był jakiś wybitny i szczerze mówiąc, wolałbym kawałek pizzy, jednak byłem tak głodny, że wyjątkowo nie wybrzydziałem. No i na ucztę miał przyjść jeszcze czas.

— Robert! Robert! — usłyszałem za plecami swoje imię, wypowiedane z typowo amerykańskim akcentem. — Porozmawiasz ze mną dwie minutki? — Kiedy tylko się odwróciłem, dojrzałem przed sobą Ashley — główną korespondentkę organizacji dla której pracowałem.

Doskonale wiedziała, że się zgodzę. Nie miałem innego wyjścia — zgodnie z kontraktem nie mogłem odmawiać wywiadów reporterom federacji, jeżeli wygrałem walkę i nic mi nie dolegało.

— Jasne — zgodziłem się, przechodząc na angielski i posyłając jej przyjazny uśmiech.

— Dosłownie chwilka i cię puszczam — obiecała i przywołała gestem swojego operatora kamery. Odchrząknęła, poprawiła swoje włosy i na znak mężczyzny przemówiła do obiektywu. — Tutaj Ashley Timmons prosto z za kulis dzisiejszej gali TFC 275. Walka wieczoru kilka chwil temu dobiegła końca i jest ze mną jej główny bohater, Robert „Chaos” Kwiatkowski — pokaleczyła moje polskie nazwisko i wtrąciła mój pseudonim. Ja jedynie przykleiłem na usta sztuczny uśmiech i skinąłem jej głową na powitanie. Prawą rękę — z batonem — opuściłem, żeby była poza kadrem.

— Witam — rzuciłem krótko.

— Podziel się z widzami swoim pierwszym wrażeniem po walce — poprosiła.

— Wszystko poszło zgodnie z planem, mam swój pas, czy trzeba coś więcej dodawać? — skłamałem i sugestywnie poklepałem pas mistrzowski, jaki miałem przerzucony przez lewe ramię.

— Jak się czujesz ze świadomością, że obroniłeś tytuł mistrza po raz czwarty? — zagadła przyjaźnie i podstawiła mi mikrofon pod nos.

— Nie robi mi to jakiejś szczególnej różnicy. Dla mnie ważne jest, abym pozostał mistrzem. Nie ważne, czy będę musiał bronić pasa pięć, czy pięćdziesiąt razy. To moje zadanie — wyjaśniłem jak zwykle zwięźle.

— Czujesz, że utarłeś nosa wszystkim niedowiarkom, którzy liczyli dzisiaj na twoją porażkę? — zapytała.

— Cóż, liczby były na korzyść mojego przeciwnika. Miał większe doświadczenie, był większy, wyższy i teoretycznie silniejszy, ale na mnie liczby nie robią wrażenia. Każdego da się rozpracować, co właśnie udowodniłem — odpowiedziałem.

— To prawda, choć walka wyglądała na zaciętą i wyrównaną. Dodatkowo zakończyła się decyzją sędziowską. Ty mimo wszystko wskoczyłeś po ostatnim gongu na ogrodzenie i uniosłeś pięści w geście zwycięstwa. Rzeczywiście nie miałeś żadnych wątpliwości, że może jednak sędziowie będą punktować na korzyść twojego rywala? — dopytała podchwytliwie, jakby chcąc wyprowadzić mnie z równowagi, sugerując, że wynik dzisiejszego pojedynku wcale nie musiał wyjść się na moją korzyść.

— Nie... — Pokręciłem z rozbawieniem głową. — Kyle to mocny zawodnik, ale nie miałem wątpliwości, że wygrałem. Zresztą mój trener zawsze powtarza mi, abym po każdej walce zachowywał się jak wygrany. Skoro ja nie wierzyłbym we własny sukces, jak inni mieliby uwierzyć?

— To bardzo sensowne wytłumaczenie. Na gali tydzień temu w Melbourne, swój pojedynek wygrał twój rodak, Rafał Borkowski. Jest on na paśmie czterech

zwycięstw i otwarcie domaga się walki o pas z tobą. Jesteś zainteresowany? — zmieniła temat, dalej próbując mnie zirytować.

— Nie wiem. Nie pokonał żadnego zawodnika z czołówki, a ta jego walka sprzed tygodnia też nie była zbyt imponująca — stwierdziłem arogancko. — Niech ustawi się w kolejce, bo jest kilku innych zawodników, którzy bardziej na to zasługują — dodałem złośliwie.

TFC stanowiło prawdziwą kulturową mieszankę i nie było w niej wielu Polaków. Rafał faktycznie jako jedyny się wyróżniał na tle innych rodaków, ale strasznie szczekał, więc i ja nie pozostawałem dłużny. To znaczy, odpłacałem mu się ignorowaniem jego zaczepek lub sporadycznym mówieniem, że niczym mi nie imponuje, kiedy ktoś pytał mnie o niego wprost. Domyślałem się, że federacja pewnie będzie chciała doprowadzić do naszego pojedynku, ale nie zamierzałem promować Rafała, dopóki nie ogłoszą naszej walki oficjalnie.

— Ostatnie pytanie w takim razie. Wiem, że zawodnicy nienawidzą, gdy zadawane jest tuż po walce, ale muszę. Co teraz?

— Teraz idę pod prysznic — odparłem z uśmiechem, co sprawiło, że kobieta zachichotała. — Po konferencji pójde poświętować ze swoją ekipą, w przyszłych dniach mam jeszcze kilka zobowiązań medialnych, a potem wracam do Polski, odpocznę ze dwa tygodnie, może pojedę na jakieś krótkie wakacje, a potem wracam na matę i trenuję do kolejnej obrony — dodałem poważnie.

— No właśnie. Mówisz, że jest kilku zawodników, którzy bardziej zasługują na walkę o pas od Rafała. Masz kogoś konkretnego na myśli? — spytała podchwytliwie. Znowu. Zaczynała mnie poważnie wnerwiać.

— Nie. Jest mi kompletnie obojętne, kogo postawią mi na drodze. Emmeta, Browna, Gomeza, Thompsona... — wymieniałem zawodników, którzy byli najwyżej w rankingu mojej dywizji wagowej — ...Godzillę, Predatora — dodałem prześmiewczo. — I tak nie oddam pasa — podsumowałem z przesadną pewnością.

— Życzę w takim razie, aby został z tobą do końca kariery. Dzięki za rozmowę — skończyła i wyciągnęła w moim kierunku dłoń, w której nie trzymała mikrofonu. Ja spojrzałem w dół i zdałem sobie sprawę, że w prawej ręce nadal trzymam batona. Ech... Przełożyłem go do ręki, którą przytrzymywałem pas i dopiero odpowiedziałem na jej gest. Potem pospiesznie zmyłem się do szatni.

To nie tak, że nie lubiłem udzielać wywiadów. Może i nie była to moja ulubiona część kariery, ale nie robiłem miny cierpiętника, tylko wywiązywałem się z obowiązków. Chyba że śmierdziałem, byłem głodny i zmęczony jednocześnie. Wtedy miewałem wręcz mordercze myśli wobec dziennikarzy. Zwłaszcza gdy spotykałem kilku pod rząd i którzy zadawali mi niemal identyczne pytania. No i jeżeli była to Ashley Timmons. Z nią nie lubiłem rozmawiać, nawet kiedy wyglądałem jak milion dolarów.

Baton na moment zaspokoił mój głód, a prysznic oczyścił i trochę rozluźnił mięśnie. W takim stanie mogłem przetrwać konferencję prasową.

Wyszedłem spod natrysku, owinąłem na biodrach ręcznik z wielkim logiem TFC, a na stopy wsadziłem klapki z, a jakże, logiem TFC i podszedłem do lustra. Przyjrzałem się z bliska swojej twarzy i uznałem, że po dzisiejszej walce nie zostanie mi żaden ślad. Mój rywal trafiał mnie co prawda dosyć często, jednak ciosy nie były mocne, a poza tym, moja skóra już się na nie uodporniła. Czułem jedynie, że mam odrobinę nadwyreżoną łydkę, bo przeciwnik zadał mi kilka potężnych kopnięć w to samo miejsce.

— Strzepałeś sobie? — W lustrze dojrzałem zadowoloną twarz Norberta, który od jakiegoś roku był jednym z moich sparing-partnerów. Wyglądał zza ściany i szczerzył się głupio.

— Właśnie obroniłem pas. Do pełni szczęścia potrzebowałem sesji masturbacji pod obskurnym prysznicem — odparłem z sarkazmem. W szatni i tak nikogo nie było. Wszyscy załatwiali pewnie jakieś formalności, abym tuż po konferencji mógł pojechać do hotelu i robić to, na co tylko będę miał ochotę.

— Może przyda ci się w takim razie pomocna dłoń? — zapytał zaczepnie i ruszył w moim kierunku, upewniając się, że dostrzegę w odbiciu gest, jaki zrobił, a zasugerował po prostu ręczną robotę. Parsknąłem pod nosem, a za moment poczułem obejmujące mnie w pasie ramiona i pocałunek na łopatkę.

— Czy tobie się czasem coś nie pomyliło? — zapytałem, odwracając się do niego przodem. W odpowiedzi spróbował rozwiązać mój ręcznik, ale w porę złapałem go za nadgarstki.

— To źle, że chcę obsłużyć mistrza? — odpowiedział pytaniem na pytanie z udawaną nieśmiałością, ale ja tylko lekko go od siebie odepchnąłem.

— To ja zdecyduję, czy chcę zostać obsłużony — zadeklarowałem pewnie i ruszyłem do ławki, na której wcześniej ktoś z mojej ekipy zostawił dla mnie świeży zestaw ubrań.

— Lubisz się ze mną tak droczyć, co? — zapytał z zawadiackim uśmiechem i usiadł okrakiem na ławce, przy której miałem zamiar się ubrać.

— Gdzie reszta chłopaków? — zmieniłem temat, bezczelnie ignorując jego pytanie.

— A co? Boisz się, że ktoś nas przyłapie? Przecież i tak każdy wie, że się ruchamy — stwierdził wulgarnie, wzruszając nonszalancko ramionami.

— Poprawka: to ja rucham ciebie okazjonalnie, kiedy akurat nikogo lepszego nie ma pod ręką — odpyskowałem wrednie, jednak tak jak się spodziewałem, na Norbercie nie wywarło to najmniejszego wrażenia. W odpowiedzi sięgnął szybko do mojego ręcznika i zdarł go ze mnie jednym ruchem. Wywróciłem tylko oczami i zabrałem z ławki bokserki, zakładając je na tyłek.

— A skoro już o ruchaniu mowa... — zaczął wymownie.

— Czy ty potrafisz rozmawiać o czymkolwiek innym? — zapytałem znudzony i następnie wciągnąłem na tyłek spodnie od dresów.

— Nie, kiedy w perspektywie mam seks z mistrzem TFC — stwierdził pewnie.

— A skąd wiesz, że masz taki seks w perspektywie? — zagadałem z pozoru od niechcienia i założyłem t-shirt, a potem usiadłem, aby założyć skarpetki.

— Bo nie masz dzisiaj nikogo lepszego pod ręką — zacytował mnie chytrze i wyszczerzył się tryumfalnie.

— A skąd masz pewność, że mistrz TFC ma w ogóle ochotę na seks? — rzuciłem przebiegle.

— Bo zawsze jesteś napalony, kiedy walka nie idzie po twojej myśli i wtedy rozpira cię energia, którą trzeba jakoś spożytkować — odparł błyskotliwie, wiedząc, jaki rzeczywiście miałem plan na walkę. Gdyby wszystko rozegrało się według scenariusza, skończyłbym mojego rywala w trzeciej rundzie poprzez poddanie.

Westchnąłem głośno i dokończyłem zawiązywać buty.

— Idę na konferencję, a ty pozbieraj moje rzeczy — poleciłem niemal dyktatorskim tonem, na co Norbert zasalutował komicznie.

— Tak jest, mistrzu.

Nie odpowiedziałem już nic, tylko chwyciłem swój pas, przerzuciłem go przez lewe ramię i ze znużoną miną ruszyłem do wyjścia. W ostatniej chwili odwróciłem się na pięcie.

— Aha, gdy wrócę, masz czekać na mnie z gorącą pizzą i zimnym piwem — dodałem i nie czekając na jego odpowiedź, wyszedłem z pomieszczenia.

Nim przebrnąłem przez arenę do sali konferencyjnej, zdążyło mnie jeszcze złapać parę osób. Z grzeczności zamieniłem z każdą po kilka słów, aż dotarłem do miejsca docelowego.

Na konferencji zadano mi kilkanaście mniej lub bardziej złożonych pytań, dotyczących mojej dzisiejszej obrony, aż w końcu mogłem się urwać i zniknąć z medialnych radarów. Promocja walki trwała kilka tygodni, więc póki co miałem serdecznie dosyć wszelkich wywiadów, konferencji prasowych i innych publicznych wystąpień. Zwłaszcza, że praktycznie przez cały czas musiałem gadać to samo.

Spod areny w Nowym Jorku wskoczyłem prosto do wynajętego SUVa, który miał zawieźć mnie do hotelu. W środku auta czekał Norbert z pudełkiem ciepłutkiej pizzy. Oczy zaświeciły mi się na jej widok i natychmiast sięgnąłem po kawałek.

— O kurwa... — mruknąłem z rozkoszą, przeżuując kęs cienkiego ciasta z ciągnącym się serem i innymi dodatkami. — Czekałem na to od trzech miesięcy — dodałem po przełknięciu pierwszego kawałka, ale zaraz ugryzłem następny.

— Wiem, jak ci dogodzić — stwierdził Miłkowski.

Popatrzyłem na niego jak na idiotę.

— Sam ci powiedziałem, żebyś ją dla mnie załatwił — przypomniałem. — Faktycznie, znasz mnie jak nikt inny — dodałem z sarkazmem i wróciłem do konsumowania swojej pizzy.

Gdy dotarliśmy do hotelowego pokoju, poczułem zaborcze dłonie Norberta na swoich pośladkach w momencie, w którym zatrzasnąłem drzwi. Zastanawiałem się jeszcze przez moment, czy mam zacząć pokazywać swoją wyższość, czy odpuścić i ostatecznie go zaliczyć. Po krótkiej analizie doszedłem do wniosku, że seks będzie jak znalazł przed snem.

Rozdział 5 (Najniebezpieczniejszy mężczyzna świata)

Mój entuzjazm, pomimo obecności Majki, znacznie osłabł. Kontuzja mojego potencjalnego rywala stawiała mnie w trochę patowej sytuacji. Jeżeli on nie mógł walczyć, najbliższym przeciwnikiem wydawał się być właśnie Rafał Borkowski — choć moim zdaniem na to nie zasługiwał. Ale potrafił rozkręcić wokół siebie sensację, a to niestety czasami było wystarczającym powodem, aby dać komuś szansę na zdobycie mistrzostwa. Dobrą wiadomością było to, że na drodze do tego mistrzostwa stałem ja. A mnie nie dało się przejść.

W końcu dotarliśmy do schroniska, więc chwyciłem dziewczynkę za rączkę i pociągnąłem ją w kierunku bramy, starając się przy tym za bardzo nie myśleć o delikatnych komplikacjach, o jakich uświadomił mnie Daniel. Miałem zamiar się temu jak najszybciej przyjrzeć, ale to musiało poczekać.

Domyślałem się, że do schroniska nie wpadało się tak na krzywy ryj, mówiło „daj mi psa” i robiło odwrot. Nie miałem czasu, aby angażować się w fizyczną pomoc zwierzętom, więc jedynie robiłem od czasu do czasu przelewy, aby wspomóc niektóre placówki finansowo. Mimo wszystko miałem świadomość, że aby zostać wolontariuszem trzeba było przejść choć minimalistyczne szkolenie.

Ale ja zamierzałem pomachać przed kim trzeba potwierdzeniem transakcji z pokazną sumą, żeby przymknęli oko na pięciolatkę.

Dotarliśmy do pomieszczenia, które stanowiło coś w rodzaju recepcji i od razu dostrzegłem, że zostałem rozpoznany przez osobę, która tam stacjonowała. Takie rzeczy po prostu było widać.

MMA w ciągu ostatnich kilku lat nabrało w Polsce rozgłosu — z moją pomocą, ale nie tylko — jednak nie byłem naiwny i wiedziałem, że moja sława wynikała też w znacznej mierze z kontrowersji wokół mojej osoby, a nie jedynie osiągnięć sportowych. To znaczy, ja nic specjalnego nie robiłem, ale po prostu bez przerwy o mnie pisano, robiąc sensację nawet z takich bzdur, jak to, że zauważono mnie dwa razy w tym samym t-shircie. Chyba wymagano ode mnie, abym przy każdym *publicznym wystąpieniu* pokazywał się w nowych stylizacjach. Cóż, dziewięćdziesiąt procent życia spędzałem w dresach, tudzież w ogóle w samych spodenkach treningowych, więc akurat najmniejszą uwagę przywiązywałem do tego, co nosiłem poza matą. Staralem się, aby po prostu nie wyglądać jak menel.

— Pan Kwiatkowski, w czym mogę pomóc? — zapytała niepewnie dziewczyna, patrząc na mnie odrobinę podenerwowana.

— Robert — poprawiłem na wstępie. — To moja bratanica — wskazałem Majkę — która bardzo lubi zwierzęta i jej marzeniem jest posiadanie psa, jednakże

chciałbym, by w pierw przekonała się, że opieka nad zwierzęciem to ciężka praca, a nie jedynie zabawa — wyjaśniłem konkretnie. — Poza tym, chętnie wesprę schronisko finansowo — dodałem, wiedząc, że w ten sposób niejako *wymuszę*, aby moja prośba została spełniona.

— Bardzo miło nam, że możemy pana gościć — powiedziała przyjaźnie. — To znaczy ciebie — sprostowała zmieszana. — Jak masz na imię? — spytała dziewczynkę, kucając przy niej.

— Majka — odpowiedziała, nie puszczając mojej ręki.

— Ja jestem Ania. Więc chciałabyś pomóc mi dziś w opiece nad zwierzętami? — dopytała ją, a Majka jedynie nieśmiało skinęła głową.

— Trochę się krępuje — wtrąciłem.

— Nie ma powodu, jesteś bardzo odważna, skoro zdecydowałaś się przyjść i zaoferować pomoc — pochwaliła ją dziewczyna. — Proponuję zatem, abyśmy przenieśli się na zewnątrz — dodała, spoglądając na mnie, jakby wyczekując mojej aprobaty.

— Zdaję się na ciebie — powiedziałem.

Więc przeszliśmy przez budynek, by wyjść z powrotem na zewnątrz drugimi drzwiami, gdzie rozciągał się korytarz boksów wypełnionych psami. Oczywiście bez przerwy dało się słyszeć szczekanie i inne odgłosy wydawane przez zwierzęta. Na szczęście Majka nie wyglądała na przestraszoną, a raczej na zaintrygowaną nowym miejscem i tak ogromną ilością psów. Nie zauważyłem w pobliżu kotów, więc te musiały być ulokowane w innej części schroniska.

Wykorzystując odwróconą uwagę mojej bratanicy, zagadałem do dziewczyny.

— Nie chciałbym, aby mała sprzątała odchody, ale prosiłbym też, żeby jej praca nie polegała wyłącznie na głaskaniu szczeniaczek — rzuciłem sugestywnie.

— Za chwilę nastąpi pora dolewania wody psom, mogłaby mi w tym pomóc — wymyśliła.

— Świetnie — pochwaliłem, aprobując pomysł.

— To może zaczeka pan w środku? Nie mamy co prawda typowej poczekalni, ale mogę panu zaproponować herbatę — powiedziała niezręcznie, jakby nie wiedząc, co ma ze mną zrobić.

Popatrzyłem na nią jak na idiotkę.

— Skoro już tu jestem, to chciałbym się też na coś przydać — zaznaczyłem. Ania zaniemówiła na moment, jakby zaskoczona, że zamierzam kiwnąć palcem. — Przecież wiem, że Majka będzie ci bardziej przeszkadzać niż pomagać, więc choć ja wyrównam jakiś deficyt — dodałem szczerze. Majeczka była przecież pięcioletnim dzieckiem i jej pomoc mogła polegać na nabieraniu wody, czy przelewaniu jej do miski. Uważałem, że to będzie dla niej fajne doświadczenie, ale wiedziałem też, że to zmusi pracownicę schroniska do znacznego zwolnienia tempa pracy.

— Nie musi pan... — zaczęła, jednak jej przerwałem.

— Ania — zwróciłem się do niej personalnie — wychowywałem się na wsi i widziałem znacznie gorsze rzeczy niż psie kupy — dodałem dla przekonania.

Wiedziałem, że nie wiedziała jak zareagować i pewnie zastanawiała się nad tym, czy *wypada* prosić mnie o jakąkolwiek pomoc, skoro byłem znaną osobistością i zadeklarowałem, że dołożę do wydatków schroniska.

— Może pomogę tamtym panom w sprzątanii? — zasugerowałem, skinąwszy wymownie na dwóch mężczyzn, którzy kilkanaście metrów dalej kręcili się przy boksach.

Dziewczyna ewidentnie się wstydziła, więc zwyczajnie zdecydowałem za nią. Zostawiłem Majkę pod jej opieką, upewniając się, że ta czuje się komfortowo w towarzystwie wolontariuszki i zwyczajnie podszedłem do chłopaków, prosząc wprost, aby przydzielili mi jakiś obowiązek.

Jeden z nich mnie rozpoznał, więc skupiłem się na tym, który mnie nie znał. Wiedziałem, że on nie będzie miał skrupułów, aby wyznaczyć mi jakieś zadanie, skoro widział we mnie zwykłego, szarego człowieka.

Tak więc dostałem miotłę i szpadel, za pomocą których miałem pozbyć się z boksów odchodów. Bez dyskusji zabrałem się do roboty.

Nie była to jakoś zbytnio męcząca praca, bo na co dzień byłem zmuszany do nieporównywalnie większego wysiłku, jednak biorąc pod uwagę fakt mojego dzisiejszego zmęczenia, trochę się wypompowałem. Ale dotarło to do mnie dopiero po wszystkim, gdyż przez cały ten czas rozmyślałem nad alternatywnymi scenariuszami do walki z Borkowskim, co odciągnęło moją uwagę od tego, że mój organizm się przegrzewał.

Kiedy wróciłem odebrać Majkę i ją ujrzałem, uzmysłowiłem sobie, że cel został osiągnięty.

Choć miała rozmarzony błysk w oczach, to byłem pewny, że odpadnie, nim zdążę dowieźć ją do domu. Mogłem być z siebie dumny, że jej nie zawiodłem, a przy okazji czegoś się nauczyła.

— Muszę przyznać... że trochę inaczej sobie ciebie wyobrażałem — zdradził Jacek, inny z wolontariuszy, kiedy już opuszczaliśmy schronisko.

— Tak? A jak sobie mnie wyobrażałeś? — spytałem podchwytliwie.

— Nie wiem... że jesteś jakimś aroganckim bucem — stwierdził, wzruszając ramionami.

— Buc, to ostatnie określenie, jakim bym się nazwał... ale z tą arogancją coś jest na rzeczy — uznałem, co wywołało chichot u chłopaka.

Po krótkiej wymianie zdań i po tym jak Majka pożegnała się ze swoją nową najlepszą przyjaciółką, ruszyliśmy do wyjścia.

Niestety przy bramie czekało mnie niemiłe zaskoczenie.

Czyhał tam bowiem jakiś reporter, który nawet nie starał się ukrywać, tylko trząskał mi niezliczoną ilość zdjęć, jakbym był jakimś obiektem w zoo.

— A co robi ten pan? — zainteresowała się mała.

— Nie wiem, pewnie sprawdza, czy działa jego aparat — odpowiedziałem zwyczajnym tonem, nie chcąc okazywać przy niej zdenerwowania.

— Będzie robił pieskom zdjęcia? — pytała ciekawsko dalej.

— Pewnie tak — przystałem na jej historię i otworzyłem tylne drzwi, by mogła wskoczyć do swojego fotelika. Majka nie była świadoma, że ma *ślawnego* wujka. Nie zamierzałem jej tłumaczyć, że ten świr z aparatem to jedna z hien żądnych sensacji. Wersja z panem, który przyszedł robić zdjęcia pieskom, brzmiała bardziej przyswajalnie dla pięciolatki.

— Ania mówiła, że jak dorosnę, to będę mogła pomagać zwierzętom tak jak ona. Też będę im robiła zdjęcia i wychodziła z nimi na spacer, i się bawiła, i zabierała do weterynarza... — wymieniała podekscytowana, na co ja tylko przytakiwałem z uśmiechem, zapewniając ją, że z pewnością sobie poradzi, gdy dorośnie.

Zachowałem spokój do momentu, w którym zapiąłem Majkę w pasy i zamknąłem za nią drzwi. Potem moje łagodne usposobienie przemieniło się w ułamek sekundy w chęć mordy.

Ruszyłem dziarskim krokiem w stronę fotografa. Natychmiast zastygł w bezruchu, najprawdopodobniej widząc moją minę, która nie wyrażała dobrych zamiarów.

— Daj mi dowód — rozkazałem.

Reporter popatrzył na mnie z przestraszonym, zastanawiając się pewnie nad konsekwencjami swojego postępowania. Skoro jednak był na tyle bezczelny, aby napieprzać mi fleszem po oczach i dezorientować moją bratanicę, nie zamierzałem być miły.

Po kilku sekundach wojny na spojrzenia — którą sromotnie przegrał — sięgnął po swój portfel. Pewnie nawet nie zastanawiał się, że wcale nie musi i że ja nie mam prawa żądać od niego dokumentów. No ale cóż, ja też bym wymiękł na jego miejscu, gdyby stał przede mną najniebezpieczniejszy mężczyzna świata i był na mnie wkurwiony.

Przyjąłem kartonik z jego personaliami, przeczytałem je i zapamiętałem.

— Jak tylko zobaczę gdzieś w necie te zdjęcia, to zaleję cię tyłoma pozwami, że jeszcze prawnuki twoich prawnuków będą spłacać twoje długi z odszkodowania dla mnie — zagroziłem surowym tonem, po czym rzuciłem w niego nieelegancko dowodem i odwróciwszy się na pięcie, ruszyłem w stronę samochodu.

Głowę jak zwykle trzymałem wysoko.

Rozdział 8 (Jak się kłócić, żeby wygrać)

Kiedy wreszcie ten koszmary dzień się skończył, zatrzasnąłem się w pokoju z postanowieniem, że nie otworzę już dzisiaj nikomu, tylko pójdę spać i będę miał na wszystko wywalone. Na moje nieszczęście kilka osób miało kartę do mojego pokoju, ale liczyłem, że nikt nie wpadnie na głupi pomysł, aby wchodzić bez zapowiedzi, żeby sprawdzić, czy żyję. Rozumiałem tę troskę, naprawdę... ale takie chwile były dowodem na to, że taka przesadna opiekuńczość wcale nie była pomocna.

Wziąłem ostatni, szybki prysznic i w samych bokserkach rzuciłem się na łóżko. Ale to ewidentnie nie był mój dzień, bo zaczął dzwonić telefon.

W pierwszej chwili oczywiście zamierzałem go zignorować, jednak przeszło mi przez myśl, że ten *ktoś* może spróbować ponownie, więc wyciągnąłem do niego rękę, żeby odrzucić połączenie i całkowicie wyciszyć urządzenie.

Zawahałem się, kiedy dojrzałem nieznanomy numer. Rozpoznałem jedynie, że dzwonił do mnie z Polski.

Przez dosłownie ułamek sekundy poczułem przyjemne mrowienie i ciepło, bo z jakiegoś powodu wyobraziłem sobie, że mógł dzwonić... Skarciłem się błyskawicznie za takie durne przemyślenia, ale podświadomie i tak czułem, że gdybym tylko usłyszał ten głos... to byłby przynajmniej jeden pozytywny akcent tego dnia.

Stop! Do reszty mnie chyba pojechało. To na pewno przez to ścinanie wagi. Byłem ekstremalnie odwodniony, przemęczony, głodny... umysł płatał mi figle. Nikogo nie potrzebowałem, aby *robił mi dzień*. Byłem samowystarczalny.

Z tego nagłego natłoku myśli, aż instynktownie odebrałem telefon.

— Słucham — rzuciłem od niechcienia.

— Cześć, brat — usłyszałem znajomy głos i gwałtownie podniosłem się do pozycji siedzącej. Aż zbyt gwałtownie, bo poczułem, jak zakręciło mi się w głowie.

Czy ja miałem jakieś omamy słuchowe? Kurwa, może powinienem jednak zadzwonić po Dawida, żeby przyszedł mnie przypilnować, bo źle się działo z moją głową — miałem halucynacje.

— Halo, Robert? — usłyszałem ponownie po chwili, kiedy nie zareagowałem.

— Czego chcesz? — zapytałem ostro.

Moje procesy myślowe były znacznie zwolnione, przez co trochę zajęło mi, nim uzmysłowiłem sobie, że to nie były urojenia. Mój brat faktycznie do mnie dzwonił. Ale nie miałem zielonego pojęcia w jakim celu, bo nie rozmawiałem z nim od śmierci Marka. Choć i wtedy ciężko to było nazwać rozmową. Wiedziałem jedynie, że Rafał czegoś chciał — nie wiedziałem jeszcze tylko czego. Pewnie pieniędzy.

— No... bo ten — zaczął głupio. — Co tam u ciebie? — spytał dla niepoznaki.

— Dobrze — odpowiedziałem konkretnie, nie odbijając pytania. Nie miałem ochoty, czasu ani siły na fałszywą wymianę uprzejmości.

— To dobrze... — podsumował. — Bo ten... — zaczął znowu, powtarzając się. — Moja Anka jest w ciąży — zdradził.

— Gratulacje — rzuciłem.

— No, dzięki — powiedział. — I... zjechał nam się samochód — zaczął powoli przechodzić do konkretów, a ja parsknąłem pod nosem i potarłem kciukiem

oraz palcem wskazującym wolnej ręki grzbiet nosa. — A ona jakąś ma zagrożoną ciężę i trzeba ją wozić po lekarzach do Białegostoku...

— Przejebana sprawa — skomentowałem niepozornie, udając, że wcale się nie domyślam, co chce mi powiedzieć między wierszami.

— No... — mruknął. — I chujowo, bo ostatnio się z ojcem nie dojrzeliśmy i mieliśmy mleko skażone i nam do mleczarni nie przyjęli... tyle kasy stracone — brnął dalej.

— Zdarza się — rzuciłem enigmatycznie.

— Ty... może dałbyś mi na samochód, co? — zapytał w końcu. — Nie zbiedniejesz od paru tysiąków — dodał i zarechotał głupio, jakby chcąc zażartować.

— Wiesz, skąd mam te pieniądze? — spytałem niepozornie i nie czekając na odpowiedź Rafała, sam odpowiedziałem. — Bo zapierdalałem przez dziesięć lat jak dziki osioł — dodałem ostrzej. — Ja nie wiem, czy wam się, kurwa, wydaje, że błysnę dupą i mi miliony na konto spływają? — zapytałem sarkastycznie. — Nikt mi nic za darmo nie dał, więc i ty się weź do roboty, pierdolony nierobie. Doskonale wiem, że zabrali ci prawko za to, że rozjechałeś samochód po pijaku i założę się, że to mleko to też twoja sprawka, bo zamiast go dopilnować, pewnie dawałeś z koleżkami w palnik — wylewałem wściekle, nie mając najmniejszych oporów, żeby tak wulgarnie zwracać się do rodzonego brata. No ale prawda była taka, że łączyła nas jedynie krew.

— W dupie ci się poprzewracało od tej sławy! W gazetach piszą, jaki ty jesteś! — On również odpowiedział agresją, co było łatwe do przewidzenia. Był miły tylko przez chwilę, kiedy miał w tym interes, a kiedy zburzyłem mu plan, pokazał swoje prawdziwe oblicze. — Dalej się z ciebie we wsi śmieją, ty pojebańcu! — wykrzyczał, chcąc mnie chyba urazić.

— Wolę być pośmiewiskiem na jakimś zadupiu z milionami na koncie niż nieudacznikiem życiowym i alkoholikiem — odgryzłem się.

— Co z ciebie za człowiek, jak dziecku brata pomocy odmawiasz! — Teraz próbował wzbudzić we mnie poczucie winy.

— Ale Majka ma wszystko, czego dusza zapagnie — odpowiedziałem z totalną ignorancją, chcąc pokazać swoją postawą, że tylko Marka uważałem za brata.

— Mówię o moich dzieciach! — Parsknąłem, kiedy nie zrozumiał aluzji i faktycznie wytłumaczył mi, o co mu chodziło.

— Tylko Marek traktował mnie jak brata, więc to oczywiste, że tylko na nim mi zależało. A ty? Wychowywałem się z tobą, a nawet cię nie znam. Ani ty nie znasz mnie. Masz tupet, że dzwonisz do mnie po takim czasie i od razu prosisz o kasę... nawet nie o pożyczkę, a o darowiznę. Czy ja ci, kurwa, wyglądam na fundację charytatywną? — zapytałem na koniec przewrotnie. Byłem znany z tego, że byłem hojny i wspierałem wiele fundacji, czy opłacałem leczenia jakichś śmiertelnie chorych dzieci... ale Rafałowi nie zamierzałem dawać nawet kopa w dupę.

— Ty skąpcu pierdolony! Jak coś się stanie Ance, to będziesz miał dziecko na sumieniu! — zagroził mi.

— Chyba ty, bo to twój bachor, a zarazem twój problem. Nie dzwoń do mnie więcej, bo nie odbiorę — stwierdziłem i nie czekając na kolejną salwę wyzwisk, po prostu się rozłączyłem.

Po tej abstrakcyjnej rozmowie nasunął mi się natychmiast pewien wniosek. Znowu wygrałem kłótnię. Znowu byłem górą. I to z drugim Rafałem tego dnia. Tyle tylko, że im więcej tych kłótni wygrywałem... tym mniejszą miałem z tego satysfakcję. No bo ile można? W końcu stało się to powszechnością.

To było dziwne, bo po tej nieprzyjemnej rozmowie z Rafałem poczułem się... no w zasadzie to spłynęło po mnie. Nie miałem nawet minimalnych wyrzutów sumienia, że tak go potraktowałem — bo z drugiej strony, to było dla mnie niepojęte, że on odważył się do mnie odezwać po takim czasie i od razu zażądać pieniędzy.

Mogło mi się jeszcze zrobić przykro... ale nie zrobiło. Nigdy nie czułem między nami tej braterskiej więzi i ogólnie odnosiłem wrażenie, jakbyśmy urodzili się na innych planetach. Nigdy wiele nie rozmawialiśmy, a jeżeli już dochodziło między nami do interakcji, to zazwyczaj były to klótnie. Totalnie nie nadawaliśmy na tych samych falach.

Ta rozmowa nie wywołała w moim życiu zmiany, ani nawet nie wpłynęła znacząco na mój tok rozumowania. Ot, kolejna krzywa akcja, która idealnie wpasowała się w ten beznadziejny dzień.

Opadłem z powrotem plecami na materac, poleżałem kilka chwil, gapiąc się w sufit, a potem przekręciłem głowę na bok. Na stole, który znajdował się na wprost łóżka, zauważyłem gruby futerał. Na pierwszy rzut oka nie zdradzał swojej zawartości, ale ja doskonale wiedziałem, co się w nim znajduje.

Moje trofeum.

Mój wynik ciężkiej pracy.

Mój największy skarb.

Mój pas mistrzowski — dowód tego, że byłem najlepszy.

Wiedziałem, że w sobotę z powrotem zawiśnie na moich biodrach. Mieliśmy się rozstać tylko na momencik, a potem mogłem go z powrotem zabrać i się nim zaopiekować.

Kiedy na niego patrzyłem, utwierdzałem się w przekonaniu, że to co robię, jest słuszne. Był wart tych wszystkich wyrzeczeń i stanowił miód dla mojej duszy po tym wszystkim, co przeszedłem.

Dla niego warto było przecierpieć jeszcze jeden dzień.

Rozdział 11 (Teoria chaosu)

To że nie mogłem trenować, wcale nie oznaczało, że zaburzył mi się grafik. Oczywiście sportowy wycisk nie wchodził teraz w grę, ale miałem mnóstwo innych zadań. Po pierwsze, musiałem sumiennie zajmować się ręką, aby wróciła do pełnej sprawności, a po drugie, spędzałem bardzo dużo czasu w klubie... bo Dawid dostał upragnioną walkę o pas i miał walczyć za miesiąc. Co prawda nie mogłem mu pomagać poprzez bezpośrednie sparingi, ale podpowiadałem, jak tylko mogłem i starałem się być dla niego mentalną ostoją — taką, jaką on zawsze był dla mnie.

Choć nie wiedziałem, czy nadaję się do tej roli, ponieważ sam byłem mentalnie pokołatany i nie do końca wiedziałem, co mam z tym zrobić. Nikomu nie powiedziałem o moich odczuciach dotyczących tego, jak zacząłem postrzegać walczenie na samym szczycie — wśród najlepszych. Nikomu nie powiedziałem też, że chyba zaczyna mnie to przerastać. Nikomu nie powiedziałem, że coś zaczyna zjadać mnie od środka, a ja nie potrafię tego zatrzymać.

Czułem, że znowu zaczynam być podatny na bodźce z zewnątrz i że można dostać się do mojego umysłu. To sprawiało, że byłem na siebie jeszcze bardziej wściekły, bo nienawidziłem słabości. Nie chciałem znowu być jak ten zabłąkany przy leśnej drodze szczeniak w mroźny poranek. Znacznie bardziej wolałem być lwem, królem na swoim podwórku. A czułem, że pękam. Na moim pancerzu pojawiły się rysy, a ja nie miałem pomysłu na to, jak mam go wzmocnić i zarazem powstrzymać postępujące *zmęczenie materiału*.

Te myśli mnie męczyły i chciałem gdzieś przed nimi uciec. Zazwyczaj wystarczył solidny trening — nie taki, który przyświecał jakiemuś wyższemu celowi — tylko taki, który był po prostu dla mnie. To była ostatnio jedyna rzecz, jaka mnie oczyszczała i której jak na złość nie byłem teraz w stanie wykonywać. Potrafiłem się jeszcze wyluzować, kiedy jeździłem bez celu późnym wieczorem po mieście... niestety z unieruchomioną jedną ręką było to bardziej denerwujące niż kojące, bo nie potrafiłem się poczuć wystarczająco komfortowo.

Na seks też nie miałem ostatnio ochoty...

— Może jakiś szybki numerek zanim pójdziesz? — usłyszałem głos, który wkradł się pomiędzy moje myśli, co sprawiło, że skutecznie zszedłem na ziemię. Popatrzyłem na Kubę jak na kosmitę, zastanawiając się, czy to mój umysł jest tak zdegenerowany i mam jakieś omamy słuchowe, czy to jego ktoś podmienił?

— Co? — zapytałem jedynie głupio.

— Czyli jednak żyjesz — rzucił z cwaniackim uśmiechem.

— Spadaj — bąknąłem, uświadamiając sobie, że po prostu mnie brutalnie wyrwał ze snu na jawie.

— Nie przejmuj się — zaczął łagodnym tonem. — Twoja ręka naprawdę szybko się goi. Nie chcę ci nic obiecywać, ale całkiem możliwe, że będziesz mógł wrócić trochę wcześniej do treningów — dodał pokrzepiająco, myśląc, że to właśnie dlatego jestem taki nieswój, a ja poczułem, jak żołądek przewraca mi się razem z dwunastnicą.

Rozumiałem, że chciał mi po prostu okazać wsparcie. Jednak nie wiedział, że to wbrew pozorom była dla mnie zła wiadomość. To było kuriozalne, ale wolałem usłyszeć coś w stylu: „Nastąpiły komplikacje, będziemy musieli oddalić w terminie twój powrót”.

Uśmiechnąłem się zatem słabo w jego kierunku, chcąc pokazać, że jestem wdzięczny.

— Wiesz... jakbyś chciał mnie pocieszyć... — zacząłem wymownie, pamiętając, że muszę z powrotem wejść w rolę i nie pokazywać więcej, że coś mnie trapi.

— Och, widzę, że już ci lepiej — odpowiedział ze śmiechem znacząco. — To się dobrze składa, bo właśnie skończyłem — dodał, mając na myśli, że skończył na dzisiaj zajmowanie się moim nadgarstkiem.

— I znowu łamiesz mi serce — powiedziałem, łapiąc się zdrową ręką w okolice wspomnianego narządu.

— Jesteś dużym chłopcem, z pewnością sobie poradzisz — zastopował mnie, na co tylko z niezadowoleniem pokręciłem głową, a potem zacząłem się zbierać.

— Wiesz... — zacząłem, łapiąc już za klamkę. — Naprawdę nie zabiłoby cię, jakbyś poszedł ze mną na kawę. Nie gryzę — powiedziałem normalnym tonem, przestając *cwaniakować* i robić jakieś głupie podchody.

— Wpierw mnie na nią zaprosz — odpowiedział zwyczajnie, przez co na moment zaniemówiłem. Nie byłem pewny, czy znowu mnie podpuszczał, czy...

I wtedy zdałem sobie z czegoś sprawę. Przecież nigdy nie zakomunikowałem wprost, że mam ochotę się z nim spotkać jakoś prywatnie i zwyczajnie pogadać. Zawsze nadawałem swoim wypowiedziom seksualny wydźwięk, sugerując, że zależy mi tylko na jednym. I jeszcze się głupio dziwiłem, że on mnie zlewał.

— Hmm... okej — odezwałem się w końcu, przypominając sobie, że wypadałoby coś powiedzieć. — W takim razie umówisz się ze mną dzisiaj na kawę? — zapytałem.

— Dzisiaj niestety nie mogę, ale jutro chętnie — odpowiedział z szelmowskim uśmiechem, więc i ja odpowiedziałem tym samym.

— Super. W takim razie napiszę ci detale. Do zobaczenia — powiedziałem wyraźnie zadowolony i się z nim pożegnałem.

I kto by pomyślał, że droga do serca Kuby polegała na tym, aby po prostu nie być chujem.

Rozdział 16 (Jak unieszczęśliwić siebie samego)

Pomimo iż czas płynął niesamowicie szybko, czasami sprawiając wrażenie, jakby dosłownie przeciekał przez palce, to jakoś niespecjalnie odczuwałem efekty tego *przemijania*. Choć po drodze wydarzyło się całkiem sporo, to traktowałem ten okres jako taką *rekonwalescencję*. Ale nie miałem tu na myśli okresu, w którym

musiałem dojść do siebie fizycznie, a psychicznie. Przechodziłem jakąś transformację, w trakcie której po prostu pozwalałem, aby życie toczyło się własnym rytmem. To brzmiało jak coś kompletnie do mnie niepodobnego i pewnie w normalnych warunkach, to jest takich, w których nie byłbym poddawany wręcz nienaturalnie ekstremalnym przeżyciom, nigdy bym sobie na to nie pozwolił. Nawet teraz wydawało mi się to nieco *obce* i z moją dominującą osobowością ciężko było mi się pogodzić z rzeczywistością, w której jestem niczym dziecko we mgle — bezradne, nie potrafiące zebrać się w sobie i wziąć życie we własne ręce.

Ale nawet gdybym chciał, nie byłbym w stanie odbudować swojego pancerza. Było już na to zwyczajnie za późno, a poza tym... straciłem motywację. Nie musiałem już przed nikim udawać, bo okazało się, że wszyscy mieli gdzieś, czy byłem nabuzowanym samcem alfa z wielkim ego, czy byłem cichym obserwatorem z boku. Bo tak się właśnie czułem. Obserwowałem, jak wszyscy wokół mnie wracają do normalności, a ja sobie stałem obok, nadal trwając niejako w zawieszeniu. To było nawet wbrew pozorom dosyć przyjemne. To *niemusienie*. Brakowało mi w tym wszystkim jedynie osoby, która byłaby w stanie mnie zrozumieć. Cholernie brakowało mi Dawida i nadal potrafiłem zasypiać z wrażeniem, jakby przygniatał mnie potężny głaz, czy budzić się z poczuciem, że „dzisiaj nie wychodzę z łóżka, bo życie jest za ciężkie”... ale zdawałem sobie sprawę z tego paradoksu, że bez... bez jego śmierci, skończyłbym pewnie dzisiaj w wariatkowie albo w więzieniu, bo albo bym postradał zmysły, albo kogoś zamordował... Najprawdopodobniej jedno i drugie.

Tymczasem miałem na wszystko tak beztrosko wywalone. Takie trwanie w zawieszeniu chyba było mi potrzebne. Nie można mnie było wyprowadzić ze strefy komfortu, bo już takowej nie posiadałem. Wyzwiska, prowokacje? Błagam, jakby mnie miało to teraz dotknąć, kiedy płakałem przed swoim byłym?

Może też dlatego dosyć łatwo i bezstresowo powiedziałem Marcelowi o tym, że kończę z zawodowym MMA. Wypowiedzenie tego któryś raz z kolei na głos

spowodowało, że czułem się, jakbym mówił mu „dzień dobry”. Armiński na początku założył, podobnie jak Daniel, że to trauma po stracie Jastrzębskiego i żebym jeszcze się wstrzymał z ogłaszaniem tego wszem wobec. Ale ja już postanowiłem. Po prostu byłem tego pewny, jak niczego w życiu. Moja era bycia niepokonanym dobiegała końca i było coś... ekscytującego w tym, że zamierzałem odejść na własnych warunkach, w największej chwale, z nienaruszonym rekordem. W końcu każdy chciał dla siebie takiego końca kariery, ale to się praktycznie nie zdarzało. Wygrywanie było niesamowicie uzależniające i bezustannie pragnęło się więcej. Mogłem chyba uznać się zatem za szczęściarza, bo mi *przeszło*, nim ktokolwiek zdołał pokrzyżować mi plany. A może tak po prostu się usprawiedliwiałem? Nawet jeśli... to nie miało znaczenia. Czułem ulgę na myśl, że już nikt nie odmieni mojego przeznaczenia. Byłem tym najlepszym na świecie, rządziłem swoją dywizją, byłem pieprzonym milionerem z milionami fanów i... absolutnie nikt nie mógł mi tego odebrać.

Mój dawny kolega powiedział mi kiedyś, abym nigdy nie pozwolił nikomu za siebie decydować. Więc to właśnie zrobiłem. Zdecydowałem sam. Odchodziłem na własnych warunkach.

Marcel w końcu zorientował się, że nie żartuję i że to nie była żadna faza, przez którą przechodziłem po stracie Dawida. I okazało się, że jemu też jest wszystko jedno. To znaczy... nie było mu wszystko jedno, po prostu dał mi banalną, ale jakże pożyteczną radę, a zarazem wyraził w ten sposób również, że poprze mnie, bez względu na to, co ostatecznie zdecyduję. A powiedział po prostu, żebym robił to, co kocham, a skoro walka przestała tym być, to...

Mój menadżer przyjął tą wiadomość dosyć nerwowo, ale kiedy mu wytłumaczyłem, że nie straci pracy, bo koniec kariery sportowej, nie równa się końcowi mojej kariery w ogóle, to się uspokoił i również mnie wsparł.

Najgorzej przyjął to oczywiście mój pracodawca. Sean Dean nie był zbyt zadowolony. Utrata tak komercyjnie popularnego mistrza równała się dla niego

z marketingową porażką. Niestety, dotarło do niego, że nie zmieni mojej decyzji nawet najpiękniejszymi obietnicami, czy przerażającymi groźbami. Jedyne, co mógł mi zrobić, to zmusić mnie do zapłacenia kary za przedwczesne zerwanie kontraktu. Ta też była wręcz absurdalnie niska w porównaniu do moich zarobków... ale mój pracodawca z pewnością nie spodziewał się, że mogę go tak *wystawić*. W końcu nawet sam się tego nie spodziewałem.

Ale i z nim ostatecznie doszedłem do porozumienia. W klatce, jako zawodnik, już nie zamierzałem się pojawiać, ale zgodziłem się na kilka przedsięwzięć, które nie wymagały ode mnie bycia w najwyższej gotowości przez cały czas, a nadal były połączone z czymś, co kochałem, czyli MMA — tyle że nie w tym rywalizacyjnym sensie.

No i obiecałem poczekać ze zwakowaniem pasa. Mi to było w zasadzie wszystko jedno, kiedy to zrobię, ale organizacja miała prawo wybrać sobie odpowiedni moment. Zobowiązałem się też do udzielenia długiego, godzinnego wywiadu na wyłączność dla TFC, w którym wszystko wyjaśnię. To mogłem zrobić.

Poza tym... robiłem to, co najlepiej potrafiłem. Dużo trenowałem, pomagając przy tym moim kolegom z klubu w przygotowaniach do ich walk i rozmyślałem o tym, co dalej. Miałem głowę pełną pomysłów, a najlepsze w tym wszystkim było to, że wiedziałem, że nic nie muszę. Mogłem próbować wszystkiego, mając świadomość, że mogę w każdej chwili zrezygnować, bez jakichkolwiek konsekwencji.

Wreszcie miałem też czas dla mojego słoneczka, którego przez jakiś czas, ze względu na mój stan, musiałem unikać. Teraz jednak spędzałem z nią praktycznie cały wolny czas i patrzyłem z zachwytem, jak rośnie w oczach. Aż czasami niedowierzałem, że zaraz miała skończyć sześć lat.

Ponieważ tak często z nią przebywałem, miałem też coraz więcej pomysłów, jak spędzać z nią czas. Oczywiście starałem się nie być tym przesadnie natarczywym

i wszystkowiedzącym, dlatego zawsze wpierw pytałem Weronikę o zgodę. W końcu Majka była jej córką i ona była głównym organem decyzyjnym.

Głównie była mi przychylna, jednak czasem miała pewne obiekcje. Tak jak trzy dni temu, kiedy wpadłem na szalony, w jej mniemaniu, pomysł, że... zaprowadzę Majkę na trening jiu jitsu. Szczerze mówiąc, to dziwiłem się sobie, że wpadłem na to dopiero teraz, ale Weronika nie była najszcześliwsza. Ostatecznie ją przekonałem, opowiadając jej o tym sporcie w samych superlatywach i zapewniając, że na tym etapie i w tym wieku dzieciaki trenują głównie poprzez zabawę i Majeczce nie stanie się żadna krzywda, a być może rozwinie się w niej jedna z pierwszych pasji i w przyszłości będzie mistrzynią olimpijską.

Tak więc siedziałem sobie teraz na parapecie, oglądając z zachwytem poczynania mojej bratanicy. Nie patrzyłem na aspekty techniczne, bo takowych praktycznie nie było, ale byłem pod ogromnym wrażeniem jej zmysłu rywalizacji. Dzieciaki bawiły się w tor przeszkód. Były podzielone na trzy drużyny i ścigały się na zasadzie sztafety, po drodze pokonując jakieś niewielkie przeszkody w postaci przeniesienia kilku metrów piłki lekarskiej, przeskoczenia przez worek bokserski, przeczołgania się pod prowizoryczną poprzeczką, czy przejścia na czworaka niewielkiego dystansu. Majka zaczynała wyścig i jako pierwsza zdołała wrócić do swojej grupy, dając jej niewielką przewagę, a potem podekscytowana zagrzewała swoich kolegów do jak najszybszego pokonywania toru.

Nie mogłem się nie uśmiechać, obserwując, jak świetnie się bawiła. Utwierdziłem się też w przekonaniu, że to był rewelacyjny pomysł.

— Poradzi sobie bez ciebie, chodź lepiej na kawę — zawołał mnie w pewnym momencie mężczyzna, wrywając mnie z letargu.

— Oczywiście, że sobie poradzi — mruknąłem zadowolony pod nosem, wstając, a potem kierując się do wyjścia z hali. Nie mogłem jeszcze kilka razy nie obejrzeć się za siebie, ale Majka nawet nie zauważyła mojego zniknięcia.

— Powinienem się obrazić, że tak rzadko mnie odwiedzasz, ale biorąc pod uwagę fakt, że przyprorowadziłeś Majeczkę tutaj, a nie do Orionu, to chyba uznam to za komplement. — Zaśmiał się Antek, zasiadając po swojej stronie biurka, w swoim małym gabinecie. Niewiele się tu zmieniło przez ostatnie sześć lat. Regały stały na swoich miejscach, kolor ścian był ten sam, nawet przybornik na biurko stał w tym samym miejscu. Jedynie właśnie biurko było nowe, ale stało idealnie w tym samym miejscu co poprzednie.

— Przepraszam, nie miałem do tego głowy — rzuciłem nieco skruszony i zawstydzony. O ile to była prawda, to jednak zrozumiałem ten podprogowy przekaz, że po prostu za rzadko go odwiedzałem — nie tylko ostatnio, a na to nie miałem już wytłumaczenia. Byłem zajęty robieniem kariery, ciągłymi wyjazdami i... nie, to nadal nie brzmiało jak dobre usprawiedliwienie. Ale Antek, jak to Antek, nie potrafił się długo na nikogo gniewać.

— Tak, tak, wiecznie zabiegany, a kariera sama się nie zrobi — sarknął. — Jak ręka?

— Jak nowa — odpowiedziałem pospiesznie i instynktownie ją uniosłem, aby pokazać, że wszystko było z nią w porządku.

— To pewnie zaraz zaczniesz przygotowywać się do kolejnej walki — zgadł.

— W zasadzie to nie — zacząłem naturalnie, nie wahając się nawet ułamka sekundy. Antoni obdarował mnie zaciekawionym spojrzeniem. — Kończę karierę MMA. Za dwa miesiące to oficjalnie ogłoszę. Póki co TFC przygotowuje sobie kilka zmian, żeby za bardzo nie stracić na moim odejściu — wytłumaczyłem spokojnie, obserwując, jak mina mojego byłego trenera zmienia się na coraz bardziej zszokowaną.